Nr. 11. We Lwowie dnia 18. marca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z pamiętnych dni.

2) (20., 21. i 22. marca 1848 r. w Poznaniu).

Aby zapobiedz wszelkim ekscesom, wydał red. komitet narodowy następującą odezwę*), podpisaną przez Potworowskiego, Andrzejewskiego, Palacza i X. Prusinowskiego.

„Bracia! W czasach dzisiejszych, w pierwszych chwilach wolności, — nie możemy wymierzać kar policyjnych na tych, którzy w zapomnieniu swojem i w niepohamowaniu namiętności, dopuszczają się pijaństwa, obelg, bójek itp. Kalają oni świętość pierwszego oddechu wolności. Powinni przeto potępieni być przez moralność narodu i opinję publiczną. Niechaj więc każdy, ile to w jego mocy, stara się przez wpływ swój taką utrzymać karność i taką trzeźwość, jak na obywateli wolnego kraju przystoi. Niechaj będzie u nas, jakoby wszystkie zamknięte były szynkownie. Niemniej starać się trzeba o to, żeby płonne, a postrach wzniecające wieści fałszywe, których pełno krąży po mieście, natychmiast karcono wypowiedzeniem rzetelnej prawdy.

Komitet Narodowy“.

I w małych miasteczkach zaprowadzono wzorowy porządek; Komitet Narodowy, który wyrósł nagle — wobec bezwładności władz cywilnych — na jedyną faktyczną władzę, nie był niesympatyczny Niemcom. Około godziny 3-ciej popołudniu, gdy wojsko opuściło plac Wilhelmowski, znaczna liczba Niemców zgromadziła się przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego (landszafty), aby uradzić odpowiedź na odezwę Komitetu Narodowego polskiego do Niemców.

Assesor Cronsatz, stanąwszy na najwyższym stopniu wiodących do gmachu landszafty schodów, odczytał zgromadzonym swój projekt, który brzmiał tak:

„Polacy! Chętnie przyjmujemy bratnią dłoń waszą, którą wyciągnęliśmy ku nam w swej wczorajszej odezwie. Zupełnie pojmujemy i szanujemy zapał, który was ogarnął, bo chcielibyśmy tylko wolne narody widzieć na całej kuli ziemskiej. Lecz prawem rozumnej wolności jest nie obalenie, ale zreformowanie istniejącego porządku rzeczy. Odezwa Wasza jest nam dowodem, żeście świadomi tej różnicy.

„Orężem ducha, słowem wolnem służcie tylko dalej waszej sprawie, a towarzyszyć wam będą sympatje ludów, — w nich pomoc czerpać będziecie.

„Polacy! Nie chcemy być waszymi wrogami, — chcemy być waszymi braćmi. Przedwczesny wasz zapał niech nie sprawi, aby oręże bratnie skrzyżować się miały, aby w obronie własności swej zmuszony był obywatel dobywać miecza. Pokój, pokój niech zapanuje między nami — abyśmy byli silnymi wobec wspólnego naszego wroga.

„Jeśli ten wyraz sympatji naszych uważacie za wystarczający, czego się spodziewamy po wczorajszej waszej odezwie, dajcie dowód tego, nosząc nasze barwy narodowe obok swoich, a my waszym śladem pójdziemy“.

Zebranie, nie zdając sobie nawet dokładnie sprawy z odczytanej odezwy, z uniesieniem przyjęło ostatni projekt, — widomy znak zawarcia braterstwa: połączenie barw narodowych. Obecni na miejscu Polacy wśród ogólnego entuzjazmu zamieniali swe kokardy z Niemcami. Uściskom i zapewnieniom nie było końca i miary.

Z kolei stanął na stopniach assessor Emil Brachvogel i odczytał drugi tekst odezwy:

*) Odezwa ta, której nie przytaczają źródła, a której egzemplarz oryginalny znajduje się w posiadaniu mojem, nie nosi daty i prawdopodobnie wydaną została najpóźniej 22-go, gdyż dnia następnego już skład komitetu po części uległ zmianie.

„Wybiła godzina, gdy spadły z ludów okowy! Od Renu aż do Prosny jeden rozbrzmiewa tylko okrzyk: Wolność! Tchnienie Boże idzie nad ziemią, roznosząc ten okrzyk od ludu do ludu i łącząc w nim wszystkie.

„Polacy! I dla was wreszcie nastał dzień wolności, dzień odkupienia owej wielkiej zbrodni w historji, którą popełniono na was, — koniec długotrwałych nieszczęść waszych. Wiecie, jakie sympatje ku wam ożywiały naród niemiecki z oddali i z bliska. Wasi wygnańcy z 1831 roku przekonali się o tem, a w roku 1846 wasz okrzyk boleści zbudził głośne echo w całej ojczyźnie Niemców. Teraz bracia nasi w Berlinie dali początek zmartwychwstaniu waszemu. Otworzyły się bramy więzienia: wasi, w kajdany okuci bracia, zostali wam powróceni dzięki naszym braciom. Wyście to uznali i wyciągacie do nas braterską prawicę. Bracia! Ściskamy dłoń waszą, a jak my to czynimy, tak uczyni i cały naród niemiecki, który podeptał już przymierze książąt z azjatyzmem i gotów swą czarno-czerwono-złotą chorągiew poprowadzić obok waszej chorągwi do walki światłości z ciemnotą.

„Niemieccy bracia Wielkiego księstwa! Nam przedewszystkiem przystoi przyjąć wyciągniętą ku nam pojednawczą dłoń braci-Polaków. Ogłośmy wszędzie, że to czynimy. Niechaj znikną wszelkie wątpliwości. Fakta stoją przed oczyma waszemi, zawierając głęboką naukę; one do was się zwracają, abyście jako mężowie wolnego czynu wzięli udział w stworzeniu tego cudnego dzieła historji, jakie tu się rozpoczęło. Odrzućcie na bok waszą połowiczność i stańcie się wolnymi niemieckimi obywatelami, braćmi w obrębie ojczyzny.

„Stańcie na wyżynach rozpoznania wolności i bądźcie pewni, że żony i dzieci wasze będą miały pewność swego bezpieczeństwa tutaj, jak wogóle wszędzie, gdzie wznosi się ołtarz wolności. Szlachetność podjętego dzieła sama daje najlepszą rękojmię bezpieczeństwa osoby i majątku.

„Bracia-Polacy i Niemcy, niech w myśl tego hasłem naszem będzie: Porządek i spokój w imię wolności!“ a godłem: polskie i niemieckie barwy narodowe!

Nieopisany szał ogarnął obecnych po odczytaniu tej, pełnej górnolotnych frazesów, odezwy Niemców do Polaków. Przez aklamację uchwalono jej wydrukowanie i do samego wieczora trwały okrzyki tłumów, świętujących zbratanie się dwujęzycznej ludności.

Zakończeniem dnia było przybycie pierwszych wypuszczonych na wolność więźniów z Berlina. Od południa oczekiwały już przybycia ich niezliczone masy ludu, które wyległy po za mury Poznania, aby powitać drogich gości. Pod wieczór wreszcie wprowadził lud w tryumfie pieszych kilkunastu berlińskich więźniów w mury Poznania, wioząc ich na przyozdobionym kwiatami i wieńcami wozie.

Wprawdzie pomiędzy pierwszą tą partją więźniów berlińskich nie było głównych osobistości, bo te zatrzymały się przy deputacji polskiej w Berlinie, od przybycia jednak pierwszych Moabitczyków do Poznania ferment polityczny zbogacony został jednym więcej czynnikiem ruchu, — czynnikiem, który wpłynął na dalsze ukształtowanie się wypadków.

Akt pierwszy wybuchu poznańskiego zakończył się z chwilą przybycia pierwszych więźniów.

Dr. K. Rakowski.

Z literatury powieściowej

(„Zaszumi las“)

Powieść w 2 tomach Józefa Maskoffa.

Nigdy nie posądzam artysty o zamiarowe krzywdzenie i spaczenie moralnej wartości i cnót odtwarzanych przezeń postaci i społecznej sfery. Nigdy!... Przypuścić raczej mogę fałszywy kąt widzenia, niedostateczne pogłębienie rzeczy, pewną jednostronność w analizie na szersze objawy społeczne, — złe zrozumienie i złe wniknięcie w duszę zaobserwowanych ludzi. Podobne dyssonansa, pochodzące z wadliwego patrzenia są winą artysty, — nie są grzechem człowieka.... „Zaszumi las!“... Miała to być książka, czy dzieje, czy szeroko podmalowany obraz stosunków i działań najmłodszej emigracji z Kongresówki w Paryżu, — a wszystko razem stało się tej emigracji

i jej zapaleńców... karykaturą... Bo jeszcze możnaby pojąć satyrę szlachetną w imię hasła Słowackiego, „jeżeli gryzę co, to sercem gryzę“; — satyrę o celach społeczno-dydaktycznych, nie można zaś usprawiedliwić karykatury całej grupy ludzi i całego kierunku, przepojonego niewątpliwie gorączką nadmierną, często szkodliwą agitacją i liczeniem sił na zamiary, — ale wykwitującego z najrzewniejszych, najlepszych i najidealniejszych pobudek. Czuł też te motywa sam autor, niejednokrotnie je zaznaczył i to nawet poetycko-dosadnie, — sam ruch jednak, samą psychologją ludzi i ich czynów tak ułożył, że osiągnął tych motywów.... parodję. Chwilami właściwe, poważne traktowanie przedmiotu, przykładanie do niego tragicznej miary i tragicznego kolorytu, unosi autora na wyżyny bardzo podniosłego artyzmu, aby go znów z nich zepchnąć na padoł... poziomości. Karykatura kłóci się ciągle z dramatem, wytwarzając rodzaj ciekawy: pół-karykaturę, hemikarykaturę; tony żałobnego marsza Chopin'a przegryzają syki nienastrojonych melodji. Tylko karykatura Maskoffa nie ma właściwego temu rodzajowi pisarskiemu zacięcia, maniery i pewnych linij takiego jej świetnego przedstawiciela Garvani'ego, ona raczej jest anemiczną, bo więcej przypadkową.

A szkoda!

Są rzeczy w „Zaszumi las“ świetne, błyskotliwe. Cały rozdział pierwszy w „Przywiślańskim kraju“ jest mistrzowskim portretem małomiasteczkowej gospodarki policmajstrów rosyjskich, portretem malowanym grubymi konturami, ale tak wybornymi, że się same kładą na pamięci i wyobraźni czytelnika. Są to jakby znakomite refleksy „Obrusitieli“ Łanskaji i Szczedrynowskiej satyry zarazem. Policmajster Matwiej Iwanowicz Tagiejew, zawsze i wszędzie „wlublon“ żyje, co więcej, działa. Gdy mu prowincjonalna aktorka Jabłońska odsyłała prezenta, wydzierał sobie włosy, wołał: „nie wydzierżu“, wylewał na siebie flakon zwietrzałych perfum, wziętych na kredyt w handlu Mordki Fiszbeina i biegł do teatru, gdzie starał się zwrócić uwagę publiczności skrzypieniem butów, brzękiem ostróg, teroryzowaniem stójkowego i lataniem... za kulisy. Rysopis krótki, ale nieskończenie dobry. Szkoda niezmierna, że na stu stronach rozsiana akcja i sztafaż polsko-rosyjskich stosunków, giną bezpowrotnie, a wraz z niemi ginie szeroka natura Tagiejewa. Jestto najlepiej, najdosadniej zrobiona figura w powieści, chociaż zbyt epizodyczna i przez to małoważna. (J. Lorentowicz)

Młody, bardzo młody Leon Orlicki, wypędzony za „propagandę“ z gimnazjum, należy do rzędu idealistów gorących, duszących się pod gniotem rosyjskim. Za kordonem czuje świat obiecany, życie na skrzydłach wolności, oazę dla myśli, światło dla oczu, swobodę dla oddechu. Zapomocą Jabłońskiej wydobywa przepustkę na wyjazd... Po co? Gdzie? Zanadto mało umie, zanadto jest dziecinnym, żeby sobie z jednego i z drugiego należycie sprawę zdawał. Jego całym arsenałem namiętność wolności, całem bogactwem płomienne porywy. Los rzucił go do Paryża i zetknął z narodowo-socjalistyczną partją. Od tej chwili przestaje być sobą, staje się narzędziem stronnictwa i własnych, małodusznych ambicji. Czego chce jednak ta partja? Wypowiada raz jej c r e d o na publicznym wieczorze główny leader Grzegorzewski, ale to, co on mówi, rozpływa się w nienaukowym, wodnistym frazesie, w szermelu ładnie utoczonym, ale bez znaczenia. Przez lud roboczy, odżywiony i wydobyty z poniżenia, do niezależnej Polski! Hasło jest, ale niema jego rozwinięcia, niema jego akcji i wysubtelnienia treści. A przecież ten Grzegorzewski, mający kilka ognistych formuł, sterał życie na agitacji, spalił się sam, zetlał, wysuszył. Stoi na czele „partji“, zarzuca Królestwo emisarjuszami i literaturą rewolucyjną, ale mimo to jest niejasnym, mistycznym, bo ani razu na serjo nie wyjawi, o co mu chodzi i dokąd zmierza. To niedopowiedzenie, a raczej brak wypowiedzenia się, obniżają tę postać, czynią ją napuszystą, deklamatorską, pustą. Figura ważna, dobrze zresztą obmyślona, chybiona z powodu tego, że do powieści socjalistycznej przystąpiono bez przygotowania ekonomiczno-socjalnego. O Grzegorzewskim ciągle się słyszy, w ustach drugich jest wprost demonicznym, — w czynach swoich pospolitym... retorem. Ten dysonans zaznaczył się dosyć wybitnie w samej tragedji śmierci Grzegorzewskiego. Umiera, doprawdy, jak człowiek potężny, duch ogromny, ogarniający szerokie okręgi myślowe bezpośrednio jeszcze przed chwilą, zanim go ciało wyrzuci z ziemskiej powłoki. I w jego pasowaniu się z życiem panuje istotnie groza dramatyczna, groza bezbrzeżnie wielka. Skonanie samo za wstrząsające, efekt zanadto napięty w porównaniu z wartością... działania. Grzegorzewski przekazuje spuściznę swoją Leonowi. Dlaczego, sam może nie wie; zresztą ten właśnie był pod ręką. I tu się zaczyna już na dobre karykatura! Cóż to za partja! Składa się z Mazi, Wilhelminki, Władki, Barumzweiga, Farbucha w czamarce i włóczęgi Chodzika; po za tymi jeszcze szczupły ogon z kilku pionków, jakby teatralno-dekoracyjny tłum, czy raczej gapie... Dziwny to aliaż o przewadze semickiego żywiołu w najgorszym doborze i najgorszych instynktów. Wilhelminka jest najnędzniejszą kokotą, wyrafinowaną i przerafinowaną, Farbach ordynarnym szpiegiem i złodziejem, Chodzik cynicznym leniem i pasorzytem, Władka zupełnie niezrozumiałym, anemicznym homunculusem... Jedynie Mazia wznosi się skrzydłami białej gołębicy nad atmosferą niepróżnującego próżniactwa, wznosi samarytańskiem współczuciem dla bliźnich, cichą, mrówczą skrzętnością i słodyczą charakteru. Z niej spływają blaski na otoczenie, na ponure tło szaloną robotę towarzyszy. Ale i ona stoi w cieniu, odsunięta na dalszy plan, przesłonięta przez figurę banalnej demi-

wjerżki, jakby żywcem na modelu Prevoste'a przykrojonej. Demiwjerżka ta pląta w swe sieci Grzegorzewskiego, potem jego następcę Leona i równocześnie innych, po za akcją będących.

Widocznie chce być zawsze kochanką leaderów, władców, — chociaż taka dyktatura, jak Leona, — nie zwykła być dla tego rodzaju pań przynętą... Wilhelminka i Wilhelminka! Ona sobą wypełnia powieść, — będąc powieści epizodem.... Szefem tej złodziejsko-kokociarskiej spółki, kierownikiem patrjotycznej propagandy, zostaje Leon Orlicki.... na ziemi wolności i utęsknionej swobody.... Oczywiście sam nic pozytywnie nie znając, sam wyśmienity nieuk o silnie rozmarzonej duszy, — nie wie, co począć na nowej pozycji. Zaczyna się piętrzyć i wichrzyć w jego sumieniu tragikomedja wątpliwości i nieudolności, którą zapomocą fanfaronady maskuje. Robi się zatem pewnym, zuchwale absolutnym, bo takim był mistrz Grzegorzewski, roztacza puszyste skrzydła pawia nad „partją“, — przemienia się w cezarjański imperatyw... Gdyby kto zapytał, co się pod tym imperatywem kryje, nie umiałby sobie dać rady, to jest poprostu poza, potrzeba.... dla leadera. Dopiero stosy listów i notatek po mistrzu oświecają go trochę (choć nie wiemy dalej jak) i przelewają odrobinę treści w puste naczynie. Naturalnie takiego przeciwnika zwalczyć i taką „partję“ zgnębić nie trudno! Czyni to Ludwik Stroński, agitator internacjonału, młodzieniec brutalny, bezwzględny, dziki. Stroński odkrywa, że Leon bierze pieniądze od szpiega ambasady rosyjskiej Montalamberta na wydawnictwa partyjne i druzgocze go. Leon, butny leader, widział w Montalambercie patrjotę francuskiego z czasów Napoleona III, — sprzyjającego sprawie polskiej!... Panika ogarnia jego w gruncie rzeczy dobre, choć dziecinne serce. Chcąc przeszkodzić wyłapaniu broszur, wysłanych za kordon, chcąc dać expjację za lekkomyślną działalność, sam wraca z narażeniem się na cytadelę do Królestwa, aby pracować już wśród swoich, po przebytych gorzkich doświadczeniach. Przedostaje się nareszcie przez granicę i pieszo zdąża przez bór do dworu, w którym złożono broszury. Wówczas snuje różne refleksje. Umysł polski przedstawia mu się, jak las młody, w którym nikt nie wyrywał nieużytków; lecz padną one powoli, liście martwe poruszą się pod wpływem śpiącej wichury społecznej i.... „zobaczycie, zaszumi las!“..

Tak wygląda szef stronnictwa, który dopiero dzięki „Historji rewolucji w Rosji“ Hercena, — już na kierowniczem stanowisku dowiedział się o... socjalizmie! Czy to nie karykatura? Pojmuję, że w każdej akcji młodzieży są pewne niedostatki, powierzchowności, utarte frazeologiczne *bon mot*, fałszywe pojmowanie różnych zasad, — ale nie ma tak bezbrzeżnej pustki i tak poniżających upadków. Nie trzeba szukać Paryża z ulicą Glaciery, — bo bliżej nas rozgrywały się i rozgrywają podobne historje. „Nie przez ewolucją, tylko rewolucją społeczną do przyszłości!“ rozbrzmiewało i rozbrzmiewa nieraz między czerwonymi. Ale między tymi czerwonymi, mimo ich gorączkowych i naiwnych wierzeń i zapałów było dużo oczytania, w każdym razie część przynajmniej realnych, ściśle określonych punktów programu. Ponad wszystkiem zaś panował i panuje ideał i bezbrzeżne ukochanie ziemi rodzinnej i błądzenie nawet... dla niej. W powieści Maskoffa z tego ideału mało zostało, — a to, co zostało, obniżono przez zbyt karykaturalną psychologję. Wilhelminki, Farbuchy, Chodziki, Władki wytwarzają właściwą atmosferę, Mazie w niej toną, a Leony z szlachetnymi, choć niejasnymi porywami, marnują kawał życia. Jeżeli o to autorce chodziło, osiągnęła swój cel, prawda historyczna nakazuje jednak stwierdzić, że „Zaszumi las“, może być co najwyżej refleksem zepsucia małej, kilkuosobowej grupki, w odniesieniu do całej młodzieży w Paryżu, czy jej poważnego odłamu, odznacza się karykaturalnością i brakiem właściwego, psychologicznego pogłębienia.

Na tem mógłbym skończyć pobieżne, nie wnikające w szczegóły uwagi. *Officium boni viri* rzuca mi pod pióro jeszcze garść słów.. Nie cierpię niesprawiedliwości w życiu — uważam ją za anomalją przykrą w dziele sztuki; krzywda własna jest zawsze łzą bólu, cudza — tego bólu potokiem.... Józef Maskoff podał w rozdziale „jeden z wielkich“ dłoń autorowi „Antysemitnika“.... Kopiowano u nas różnych wybitnych ludzi, wskazywano na nich palcem (jakto mówią), nigdy ich jednak inicjałem nie wymieniano, ani ich dzieł... W takim wypadku uzasadnione zarzuty zamieniają się w akt prokuratorski, bezpodstawne zaś, w pospolity rodzaj pseudo-literacki, posiadający pewną specjalną nomenklaturę. W jednym i w drugim wypadku obniża się artyzm kosztem folgi własnej namiętności, czy nieoględności. W powieści Maskoffa figuruje wielki pisarz, „sława narodu“ P., autor „Pamiętnika“ i „Rycerzy“. Wiadomo dobrze, że Zygmunt Kaczkowski znany był w Francji pod nazwiskiem *comte de Pomian*, że on napisał „Olbrachtowych rycerzy“; „Pamiętnik“... Otóż do P. udaje się Leon z prośbą o polecenie, celem wyszukania jakiejkolwiek pracy. P. chłodno przyjmuje młodzieńca, a dopiero, gdy Leon nazwał go „sławą narodu“, mięknie duma „starego egoisty“ i topnieje coraz bardziej z chwilą nabycia pewności, że nie sięgnięto do jego kieszeni. Leon dręczy się jednak, że chciał duszę otworzyć przed bogaczem, który zarobione na giełdowych spekulacjach pieniądze... przejada najspokojniej...., odciąwszy się od „wspólnego życia i interesów rodaków“. Dopiero ujęty uwielbieniem chłopca dla siebie, — podarował mu kilka dzieł z własnoręcznie napisaną dedykacją i radził wrócić do kraju. Leon „zaprotestował przeciw temu i zdumiewał się, ile w oczach P. tkwi dobrodusznego fałszu“.

— Dlaczego, dlaczego? (nie cnce wrócić) pyta P. Co wy tam w tym kraju znów teraz robicie? Siedźcie cicho!...

Nie dziwiłbym się Kaczkowskiemu, żeby drzwi pokazywał takim emisarjuszom młodzieńczym, jakich pan Maskoff w własnej powieści potworzył. Przecież dla Chodzików, Farbachów, Wilhelminek... etc. schody chyba właściwą byłyby lokacją... Ale pominąwszy już postacie powieściowe, dobrze zna kolonja polska okazy rzeczywiste... Przecież w Paryżu urobiono nawet nazwę „chodzikowstwa“ na włóczęgów, często wykształconych, a pukających od domu do domu rodaków, — bo im się nic robić nie chce i w szumowinach tonąć wolą, niż wprzęgać się do pracy. Zapewnić następnie mogę p. Maskoffa, że Kaczkowski do końca życia otaczał młodzież sympatją i pomocą materjalną. Piszący powyższe słowa miał sam tego klasyczny dowód. Kiedy przed ośmiu laty odłam młodzieży na uniwersytecie Jagiellońskim przystąpił do redagowania pisma akademickiego, — nadesłał Kaczkowski *z własnej inicjatywy* 300 fr. na ten cel, porwany *patrjotycznym* prospektem. Taki człowiek odciął się od narodu!... Dość mu za życia bólu wyrządzono i trzeba było dopiero, aby go ś. p. Liske w przededniu prawie zgonu swego zrehabilitował, — niechże przynajmniej teraz, kiedy to serce śpi dziś snem kamiennym, nie ciskają na nie szyderstw.... Tyle, nie dla dokuczenia, — tylko dla prawdy.

Ernest Łuniński.

WYKLĘCI.

Szkic.

III.

Ciężka rozpacz zawisła nad polakami. Nędza, która ich żarła od miesięcy paru, zbliżała się coraz więcej do nich — dotkliwsza, straszniejsza, nie przebaczająca... Widmo jej włóczyło się teraz ciągle po kątach, po sprzętach, kołysce dziecka, wychudłem ciele matki, suchych członkach Bratałowicza, po niechlujnym i dzikim Rybce wreszcie. Wyciągała coraz więcej ku nim długie swe ciemne ramiona i, owijając ich niemi powoli, wołała jakby z uporem:

— Pójdźcie, ja was wszystkich utulę na zawsze!

Bratałowicz się wzdrygał, szukał ratunku, pomocy, oparcia. Starał się ją zażegnywać, odpychać, usunąć i przegnać na zawsze. Jednak ona zdawała się być mocniejszą i więcej stalszą od niego, z większym od niego uporem sięgała po tych czworga i wyszczerzając do nich straszne swe zęby, nie przestawała nawoływać jednako:

— Pójdźcie, ja wam ukojenie dam!

A polak chciał żyć i życiem swem dwie ukochane istoty od śmierci ocalić. Tem straszniejszem było jego uczucie, gdy codziennie, kładąc się na nędzny barłóg, całe noce przelegiwał z wlepionemi w jeden punkt jak słup oczyma i widział, jak na jawie, że ta, co stała w kącie, bezczelna, i odarta, zwycięży go wreszcie i pociągnie za sobą tam, gdzie wskazywała jemu i tym dwojgu spokój wieczny i niezmącony...

A przecież drżał na tę myśl i pożądał życia dla nich i dla siebie!

Teraz dopełnił się kielich. Jedyna pomoc i podpora, nieoceniony i niezastąpiony niczem Rybka porzucał ich i szedł między ludzi ocalić choć siebie i nie dać zamrzeć sobie nędznie, marnie, śmiercią głodową...

Dlaczego nie miał tego uczynić?

Bratatałowicz szarpał włosy.

Czy wiązało go coś z nimi, czy był ich bratem, przyjacielem, psem? Czy zaprzysiągł im wierność do grobu, czy związał los swój z ich losem, czy przyrzekał im zostać i żywić ich te parę tygodni swą pracą? Wszak on był wolnym nędzarzem, któremu wszystko jedno przy jakim stole chleb swój jeść będzie, byle go miał poddostatkiem, byle go uczciwie zarobił?

Czyż jego można było winić?

A jednak, gdy teraz Bratatałowicz, pognębiony i zupełnie, zda się, złamany, myślał nad tem, to mu się dusza wzdrygała, że ten jakut tak czyni.

Gdy w długie bezsenne noce słyszał donośne kwilenie dziecięcia i ciężkie halucynacyjne poruszenia żony, gdy czasami krótko, na chwilę zajęczał jej kaszel suchy i zamarł w cichem rzęże-

niu, gdy jego samego nachodziły jakieś wizje i mary i gdy to wszystko pomieszawszy się z sobą i tańcząc w piekielny takt dokoła, szalało, żywe, a jednak nieuchwytne, wtedy sądził, że to ostatnie przejawy życia już nadchodziły i w brutalny, dziki jakiś sposób dawały znać o sobie. Jedynem wspomnieniem, którem usiłował zażegnywać te mary, była myśl o obecności Rybki. Ten jeden do tej pory zręcznością swoją i posługami zdobywał coś nie coś i podczas gdy on sam, po ciężkiej chorobie, niewyleczony, dniami całymi nie opuszczał barłogu żony, wpatrzony w nią błędnie — niebezpiecznie chorą najtroskliwszą opieką otaczając, Rybka, jak dobry duch opiekuńczy, biegał po miasteczku i pomagał do żywienia rodziny.

Teraz przyszło najgorsze i ostatnie. Nie żyć im już było na tym świecie! Wiedział, co ich czeka, a jeśli umierać — to wszystkim.... Jakut opuszczał ich z postanowieniem niezłomnem. Nawet jego silna natura okazała się niezdolną do dalszego przenoszenia tego życia i to, co powiedział, prawdą było. Opuszczał ich nieodwołalnie, a dla nich został tylko...

— Grób, cichy, spokojny, dobry grób! — szepnęło widmo, które Bratatałowicz ciągle widział, jak z chciwością łowiło bieg jego myśli.

Niedaleko, na paru skórach wytartych, widocznie nieprzytomny z głodu, leżał Rybka i szarpiąc ręką w ciężkim śnie, jęczał od czasu do czasu żałośnie:

— Nie mogę... nie mogę... Taka psia służba!.. I mięsa nie dajecie i tłuszczu nie dajecie i nic... Dopóki mogłem, to siedziałem, a teraz nie mogę, nie mogę, nie mogę!..

Bratatałowicz zwrócił błędne swe oczy na jakuta i w głuchej ciszy izby, w takt poświstu wichru za oknem, powtórzył, jak echo, za nim:

— Nie możesz, nie możesz, nie możesz...

Naraz w jego oczach coś zaświtało, nie złowieszczego jednak, lecz jakiegoś spokojnego i niecofniętego.

— I nie potrzebujesz, Rybka — domówił, zrywając się z barłogu swego pod ścianą — o, nie będziesz potrzebował!

Podszedł do kominka pod wędzarnię i wziąwszy ztamtąd duży ostry nóż, który służył do czyszczenia skór reniferowych, chciał zmierzyć ku drugiej izdebce... Stał jednak, jak zahypnotyzowany, rozszerzonemi oczyma wpatrywał się w uśmiechnięte piekielne widmo. Ścisnął kurczowo nóż w ręce, zęby zwarły mu się konwulsyjnie, jak w spazmie...

Wreszcie zaczął szeptać coraz prędzej i głośniej, jak człowiek będący w strasznem pobudzeniu:

— Panie Boże, jeżelim zgrzeszył, odpuść mi... Panie Boże, jeżelim przewinił, przebacz mi... Jeżelim kogo skrzywdził, nie pamiętaj mi tego!...

— Panie Boże, daj mi dość siły, bym to uczynił, a jeśli ręka moja zadrży, dodaj mi, Boże, rozpaczy...

— I to wiedz, Boże, że nie z podłości to czynię, ale dla skrócenia mąk...

— A jeśli nie widzisz cierpień jej i tego stworzenia niewinnego, ulituj się nad nami i wejrzyj... A jeśli przeklinać będziesz, powstrzymaj rękę swą karzącą i nie rzuć kamieniem...

— I gdy już pomrzemy — przyjmij nas na łono swoje, zmiłuj się, Boże Najwszechmocniejszy, i przebacz... Zbaw nas od zguby wiecznej i pamiętaj w straszną godzinę sądu, Odkupicielu i Zbawicielu...

To jęcząc, przestąpił próg izby sąsiedniej i po chwili w niej zniknął...

* * *

Na drugi dzień stary jakut, który zwlókł się z posłania z nieopisanym trudem, zmęczony chorobliwym snem, w jaki wygłodzony jego organizm zapadł, został niepomiernie zdziwiony widokiem, który się oczom jego w sąsiedniej izbie, dokąd się po bezskutecznem długiem nawoływaniu udał, przedstawił.

Na tapczanie, z głową na dół owisłą, leżało zbroczone krwią, z piętnem silnej choroby na sobie, ciało młodej kobiety. Niedaleko w kołysce z zaciśniętemi piąstkami i już nieżywe spoczywało niemowlę, a na glinianej podłodze, twarzą do ziemi zwrócony i z rękoma na krzyż rozłożonemi, walał się długi trup Bratatałowicza...

Obok niego kałużami czerwieniła się skrzepnięta krew.

— Co to? co to? — wyszeptał jakut. — Nieszczęście... Straszne... I już nic nie mieli do jedzenia... Ostatnią kość ze szpikiem wczoraj im od Czartkowa przyniosłem... A ona nawet niemowlęcia czem karmić nie miała... Nieszczęście, co za nieszczęście! I Bóg ich nie uchronił i zarżnęli się, zarżnęli! I niema ich, niema!...

Strach jakiś i niepokój zaczęły go opanowywać. Potem starał się owładnąć tem uczuciem, ale zamiast otrząść się z niego, poddawał mu się coraz więcej... W końcu wzdrygnął się parę razy i patrząc z wzrastającem przerażeniem na nieżywą kobietę i martwego trupa Bratatałowicza, zdawał się wylękłemi i szklanemi swemi oczyma nie pojmować tego, co tu zaszło... Wreszcie nie wytrzymał i z wzmagającem się uczuciem panicznego strachu począł cofać się tyłem ku drzwiom. Czuł, jak mu się włosy zjeżyły na głowie i jak w skroniach zaczęło tętnieć coraz bardziej... Po chwili wrzasnął głośno, przeraźliwie:

— Pan Braczaczewicz! pan Braczaczewicz! Ja zostanę u was, wy nie umierajcie, ja zostanę!!

Ale Bratatałowicz, który był już nieżywy, zaśmiał się na to tylko wzgardliwie i z gorżką ironją powtarzać zaczął:

— Nie gub duszy, Rybka... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, — czełowikom bądź!

Jakutowi pociemniało w oczach. Potem schwycił się za głowę i wyleciawszy z domu jak szalony, począł wołać ratunku w niebogłosy.

Kto nie kto wyjrzał z chałupy, niektórzy przybiegli na pomoc, ale gdy weszli do domu Polaka, ujrzeli go tylko martwego, leżącego z rozkrzyżowanemi na ziemi rękoma i wychudłemi swemi ramionami jakby broniącego kobiety i dziecka, których zamordował...

Jan Augustynowicz.



Kartki naukowe.

O znaczeniu substancji mineralnych w fizjologji zwierzęcej

przez

Dr. M. STEFANOWSKĄ.

Wiadomo, że w laboratorjach chemicznych trzeba używać nieraz środków fizycznych bardzo gwałtownych, aby sprowadzić rozkład i nowe związki ciał mineralnych; w tym celu używają np. bardzo silnie rozpalonych pieców, elektryczności, mocnych kwasów itd. Takich gwałtownych środków, organizm zwierzęcy w sobie nie zawiera, jakimże więc sposobem posiłkuje się materją mineralną i jak uskutecznić może rozkład takich ciał organicznych, jak mięso, mleko, tłuszcze itp.

Za naszych czasów ciekawy ten przedmiot został już w znacznej mierze wyjaśniony. Przekonano się, w organizmach, podobnie jak w laboratorjach, przemiany materji mineralnej odbywają się także przy współudziale sił fizycznych i etemicznych. Naprzykład wielka ilość wody, znajdująca się w naszej krwi i mięśniach, rozpuszcza sole mineralne, które następnie wraz z płynami krążą po całem ciele. Pod tym względem znowu istnieje wielkie podobieństwo między zwierzętami a roślinami. Jak roślina korzonkami swymi wysysa soki z ziemi, tak i nasze tkanki wchłaniają w siebie sole rozpuszczone w płynach ciała. Tlen, którego mamy poddostatkiem wewnątrz ciała, łączy się z ciałami mineralnymi i wpływa na ich przekształcenie.

Ale obok tych dawno znanych sił fizyczno-chemicznych w żyjących organizmach mają prócz tego doniosłe znaczenie tak zwane fermenty rozpuszczalne, one to właśnie zastępują owe gwałtowne siły fizyczno-chemiczne, któremi uczeni posługują się w swych laboratorjach. Owe fermenty rozkładają mięso, jaja, mąkę, tłuszcze cukier i tak je przekształcają, że te pokarmy rozpuszczają się jak cukier w wodzie, przechodzą do krwi i potem odżywiają wszystkie nasze organy. Organizm zaś może odżywiać się jedynie takimi pokarmami, które zamienione zostały na płyny. Przeto mięso, jaja, chleb, jarzyny, zupełnie muszą być przekształcone, zanim się do krwi dostaną. To też w naszym kanale pokarmowym znajdują się rozmaite fermenty, rozpuszczające te pokarmy. Naprzykład w żołądku mamy ferment zwany pepsyną, znalezioną także i w tkankach roślinnych. W kiełkujących ziarnach zboża wytwarza się ferment djastaza; przerabia on mączkę na cukier; takiż sam ferment znajduje się w naszej ślinie.

Ilość fermentów rozpuszczalnych, odkrytych w tkankach zwierząt i roślin, jest bardzo wielka, a każdemu z nich przypada inna rola w przekształcaniu substancji. Ale aby funkcja fermentów prawidłowo odbywać się mogła, potrzebną jest koniecznie obecność soli mineralnych, gdyż w przeciwnym razie ferment staje się bezczynnym, a w organizmie powstają zaburzenia.

Tym sposobem wnętrze naszego organizmu przedstawia się jako laboratorjum chemiczne, w którem wciąż powstają liczne i coraz to nowe związki i nowy rozkład materji. Nic tu nie trwa długo, istnieje ciągle niestała równowaga, którą łatwo zakłócić można.

Nie ulega więc teraz wątpliwości, że zwierzęta tak, jak i rośliny potrzebują do życia ciał mineralnych. Gdy w tkankach zwierzęcych za

mało jest tych ciał, to można poprawić ów grunt zwierzęcy przez dodawanie do pokarmu odpowiednich soli. Tak postępuje rolnik, gdy przy uprawie roślin dodaje do ziemi nawozu, to jest soli mineralnych. Zresztą lekarz podobny jest w tym względzie do rolnika: przy anemji zaleca brać żelazo, a dzieciom słabowitym przepisuje fosforan wapnia, aby wzmocnić rozwój szkieletu. Być może, iż z czasem fizjologja stanie tak wysoko, że wiadomem będzie, jakich minerałów brakuje organizmowi w pewnych cierpieniach, a lekarz będzie umiał wskazać, w jakiej formie najlepiej będzie spożyć ów minerał. Powstałaby wówczas agrykultura człowiecza.

Z pism i książek.

Przegląd Zakopiański. Najświeższy zeszyt tego pisemka, założonego w ubiegłym sezonie przez W. Eljasza, obfitą przynosi treść. Prócz zwykłych wiadomości bieżących, jest tu dobrze napisana i ze wszech miar zasługująca na uwagę rozprawka: „Styl zakopiański i sposób zakopiański“ pióra Mieczysława Limanowskiego, młodego, próbującego dopiero pierwszych lotów autora, — są „Finanse klimatyki“; jest starannie zestawiona przez dr. T. Janiszewskiego „Bibljografja zakopiańska“. A na czele numeru stanęła legenda Sienkiewicza: „Na olimpie“, powtórzona za wydaw. „Sami sobie“.

Kędyś wysoko, na upłazie, Piotr i Paweł zasiedli, aby złożyć sąd nad starymi bogami. Z ust starców o siwych włosach, surowych oczach i świetlistych obrączkach na głowie, padały, jeden za drugim, wyroki zatraty na młode, pogodne, dla siebie i innych pobłażliwe bóstwa Olimpu. Gdy jednak stanął przed nimi w otoczeniu białych muz promienisty bóg pieśni, zachwieli się w bezwzględnej swej surowości. A on, zwracając się do Pawła, począł mówić głosem do cudnej muzyki podobnym:

„Nie zabijaj mnie, Panie i obroń, albowiem wskrzesićbyś mnie musiał. Jam kwiat duszy ludzkiej, jam jej radość, jam światło i jam tęsknota ku Bogu. Ty wiesz najlepiej, Panie, że nie doleci pieśń ziemi ku niebu, jeśli połamiecie jej skrzydła — więc was zaklinam o Święci — nie zabijajcie Pieśni“.

„I nastąpiła chwila milczenia. — Piotr wzniósł oczy ku gwiazdom, Paweł położył dłonie na rękojeści miecza, wsparł na nich czoło i zadumał się głęboko.

„Wreszcie podniósł się: spokojnie uczynił znak krzyża nad promienną głową bożka i rzekł:

„Żyj, Pieśni“.

Potem przesuwają się inni bogowie przed trybunałem sądu i zapadają w otchłań, strącani przekleństwem apostołów. Ostatnia staje przed nimi bogini miłości.

„Aż wreszcie przyszła kolej i na nią — najpiękniejszą, najwięcej czczoną! — Zbliżyła się słodka, cudna, rozpłakana. Serce biło w niej pod śnieżną piersią, jak u ptaka, a usta drgały, jak u dziecka, które lęka się kary okrutnej. Więc przypadłszy im do nóg i wyciągnąwszy swe boskie ramiona, poczęła wołać z pokorą i bojaźnią:

„Jam grzeszna, jam winna! ale, o Panie! jam szczęście ludzkie. Zmiłuj się! Przebacz! jam szczęście ludzkie jedyne!“

„Poczem lęk i łkanie odjęły jej głos. Lecz Piotr spojrzał na nią litośnie i położył sędziwą dłoń na jej złotych włosach, a Paweł pochylił się ku kępie polnych lilji, uszczknął jeden kielich i dotknąwszy jej nim, rzekł:

„Bądź odtąd jako i ten kwiat — ale żyj, Szczęście ludzkie!“

Legendę zamyka obraz ziemi, budzącej się o brzasku nowego dnia w uniesieniu radości, bo nie odjęto jej Pieśni i Szczęścia.

— Towarzystwo Wydawnicze lwowskie dało sobie najwidoczniej słowo wzbogacać literaturę ojczystą wartościowemi jedynie rzeczami, to znaczy — wzbogacać ją naprawdę. Dowodem choćby ostatnie nakłady: studjum krytyczne Kazimierza Wróblewskiego: »*Skargi Jeremiego*«, oraz szkice i obrazki Władysława Orkana, objęte ogólnym tytułem: »*Nad urwiskiem*«.

Broszura K. Wróblewskiego, który od lat kilku gromadzi materjały do wyczerpującej monografji o piewcy »Skarg«, to nader pożądany przyczynek do ubogiej literatury o naszym ostatnim romantyku. Autor wykazuje drogą sumiennych badań historyczno literackich znaczenie poematu, który należał u nas przed półwiekiem do najpopularniejszych utworów narodowych, a poddając skargi-pieśni umiejętnej analizie, błyska przed czytelnikiem raz-wraz celniejszymi ustępami, niby sznurem żałobnych pereł.

Motywy do szkiców i obrazków Orkana czerpane są przeważnie ze świata chłopskiego. Autor rzadko wybiega w swej twórczości poza krawędzie gór rodzinnych, poza kresy szarych, oparami łez owianych ugorów..

Chłop polski, jego mocne a starannie ukrywane uczucia, jego praca krwawa i krótkie wypoczynki w doroczne święta, jego zwyczaje i wierzenia, jego krzywda, i ból, i rozpacz — wszystko to dostarcza treści utworom, które robią wrażenie takiej żywej i do żywego szarpiącej rzeczywistości, że trudno je nawet oceniać zdawkową monetą zwykłej krytyki literackiej. Znać, że Autor trzyma rękę na tętnie serc cierpiących, — że sam przeżył wspólnie ze swymi bohaterami nie jedną z powszednich chwil, które potem przetworzyły się pod jego piórem w obrazy rzadkiej piękności artystycznej — i że wspólnie z nimi może powiedzieć: ».. Mym ojcem ból miljonów, a matką wieczna nędza...«

Obie wymienione książki znajdują się już w obiegu księgarskim i z obu »Tydzień« zda wkrótce sprawę.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.